



Joseph Conrad

Jądro ciemności



NEXTO - KLASYKA LITERATURY

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

I

Jacht krążowniczy „Nellie” obrócił się na kotwicy bez najlżejszego trzepotu żagli i stanął bez ruchu. Przyptyw się skończył, wiatr ucichł prawie zupełnie, a że jacht kierował się w dół rzeki, nie pozostawiało nic innego, tylko zatrzymać się i czekać odpływu.

Przymorski obszar Tamizy rozciągał się przed nami jak początek nieskończonego wodnego szlaku. Morze i niebo w oddali spajały się z sobą bez śladu, a w świetlistej przestrzeni wysuszone na słońcu żagle szkut dryfujących w górę z przyptywem zdawały się tkwić spokojnie w kępkach czerwonych, mocno napiętych płócien, błyskając pokostowanymi rejkami. Na niskich brzegach stała mgła ścieląca się ku morzu coraz cieńszą warstwą. Powietrze było ciemne nad Gravesend, a jeszcze dalej w głąb zdawało się zgęszczać w ponury mrok, skupiony w posępnym bezruchu nad najbardziej rozległym i najpotężniejszym miastem świata.

Naszym kapitanem i gospodarzem był dyrektor różnych towarzystw. Wszyscy czterej spoglądaliśmy ku niemu serdecznie, gdy stał na baku tyłem do nas patrząc w stronę morza. Na całej rzece nie było nikogo, kto by choć w części wyobrażał postać tak wybitnie marynarską. Przypominał pilota, który dla marynarza jest wcieleniem tego, co zasługuje na najwyższe zaufanie. Trudno było sobie wyobrazić, że teren jego pracy nie leży het tam, u świetlanego ujścia rzeki, lecz w górze Tamizy, wśród posępnego mroku.

Jednoczyła nas – jak już gdzieś powiedziałem – więź morza. Nie tylko że nie pozwalała, abyśmy o sobie zapomnieli w czasie długich okresów rozstania, ale uczyła nas wzajemnej pobłażliwości dla naszych opowiadań, a nawet poglądów. Prawnik – najmilszy z towarzyszy – miał ze względu na pokaźną ilość lat i cnót jedyną poduszkę na pokładzie i leżał na jedynej derce. Buchalter wydobyl już pudełko z dominem i zabawiał się ustawianiem domków z kostek. Marlow siedział, skrzyżowawszy nogi, w głębi rufy, oparty o tylny maszt. Miał zapadłe policzki, żółtą cerę, proste plecy, wygląd ascety, a ze swymi obwisłymi ramionami i rękami leżącymi na kolanach dłonią ku górze podobny był do bożka. Dyrektor upewniwszy się, że kotwica dobrze trzyma, przyszedł aa rufę i zasiadł między nami. Zamieniliśmy leniwie kilka słów. Potem zapadło na jachcie milczenie. Dla jakiejś

tam przyczyny nie rozpoczynaliśmy partii domina. Opanowała nas zaduma i byliśmy zdolni tylko do spokojnego patrzenia przed siebie. Dzień się kończył wśród cichej pogody, wspaniałej, nieskazitelnej. Woda jaśniała spokojnie, niebo bez żadnej plamki było dobrotliwym bezmiarem nieskalanego światła; nawet mgły na mokradłach Essexu wyglądały jak zwiewna, promienista tkanina, która zawisła z lesistych wyniosłości w głębi łądu układając się na niskich brzegach w fałdy przejrzystej draperii. Tylko ku zachodowi mrok tkwił posepnie nad górnym biegiem rzeki i tymciemniał się z każdą minutą, jakby rozgniewany zbliżaniem się słońca.

Wreszcie słońce zsunęło się nisko, zakreślając nie dostrzegalny łuk, i od gorejącej białości przeszło w ciemną czerwień bez promieni i bez ciepła, jakby miało nagle zagasnąć, rażone śmiercią przy zetknięciu z owym mrokiem ścielącym się posepnie nad ciżbą ludzi.

Woda zmieniła oblicze natychmiast, a pogodna jasność stała się mniej świetna, lecz jakby głębsza. Stara rzeka, rozlana szeroko, wypoczywała bez ruchu u schyłku dnia – po całych wiekach dzielnej służby u rasy zaludniającej jej brzegi – rozpostarta spokojnie w swej godności wodnego szlaku wiodącego do najdalszych krańców ziemi. Nie patrzyliśmy na czcigodną rzekę przelotnym spojrzeniem krótkiego dnia, który zjawia się i odchodzi na zawsze, ale widzieliśmy ją w dostojnym świetle trwałych wspomnień. I zaiste, nic łatwiejszego dla ludzi, którzy – jak to się mówi – „poświęcili się morzu” z szacunkiem i przywiązaniem, niż wywołać wielkiego ducha przeszłości na przymorskim obszarze Tamizy. Przyływ i odpływ biegną tam i z powrotem w nieustającej służbie, przepięknie wspomnieniami o okrętach i ludziach, których niosły ku domowemu wytchnieniu lub ku walkom na morzach. Prądy te znały wszystkich mężów, którymi szczyli się naród, i służyły im wszystkim – od sir Francis Drake'a do sir Johna Franklina – rycerzom utytułowanym lub nie, wielkim, błędnym rycerzom morza. Prądy te dźwigały wszystkie statki, których imiona są jak drogocenne kamienie błyszczące w pomroce wieków, od „Złotej Łani” powracającej z łonem pełnym skarbów – statku, co po odwiedzinach jej królewskiej mości znika z gigantycznej opowieści – aż do „Erebu” i „Terroru”, które puściły się na inne podboje, aby nigdy nie wrócić. Prądy te znały i okręty, i ludzi. Znały tych, co wypłynęli z Deptford, z Greenwich, z Erith – awanturników i osadników; znały okręty królewskie i okręty finansistów, kapitanów, admirałów, znały ciemne figury z handlu ze Wschodem i upęnomocnionych „generałów” wschodnio-indyjskich flot. Łowcy złota lub łowcy sławy, wszyscy płynęli tą rzeką dzierżąc miecz, a często i pochodnię – wysłannicy potęgi z głębi kraju, niosący iskry świętego ognia. Któraż wielkość nie płynęła z prądem tej rzeki dążąc ku tajemnicy nieznanych ziem!... Marzenia ludzkie, nasiona rzeczypośpolitych, zarodki cesarstw.

Słońce zaszło, zmierzch padł na rzekę i światła zaczęły się ukazywać wzdłuż brzegu. Latarnia morska Chapmana, stojąca na trzech nogach wśród błotnej łąwy, rzuciła silny blask. Okrętowe światła dążyły żeglownym szlakiem – odbywał się wielki ruch światełek w górę i w dół rzeki. A dalej na zachód, nad górnym biegiem,

leże miasta-olbrzyma znaczyło się wciąż złowieszczo na niebie – posępną mgłą w słońcu, mętnym blaskiem pod gwiazdami.

— A i to miejsce – rzekł nagle Marlow – było ongi jednym z mrocznych zakątków ziemi.

On jeden jedyny spośród nas wciąż jeszcze „służył na morzu”. Najgorszy zarzut, jaki mógł spotkać Marlowa, to że nie był on typowym przedstawicielem swego zawodu. Był (marynarzem, ale był również wędrowcem, gdy tymczasem większość marynarzy prowadzi, jeśli można się tak wyrazić, życie osiadłe. Ich usposobienie należy do kategorii domatorskich, a dom zawsze jest z nimi – okręt; tak samo jak ich kraj. – morze. Jeden okręt jest bardzo podobny do drugiego, a morze zawsze jest jednakowe. Wśród niezmienności otoczenia obce wybrzeża, obce twarze, zmienny ogrom życia, przesuwają się koło nich przesłonięte bynajmniej nie poczuciem tajemnicy, lecz nieco pogardliwą niewiedzą; gdyż nie ma dla marynarza nic tajemnicze go – chyba samo morze, które jest władcą jego istnienia, władcą równie niezbędnym jak los. Co zaś do reszty świata, przypadkowy spacer poza godzinami służby lub przypadkowa pijatyka na wybrzeżu wystarcza, aby odsłonić przed marynarzem tajemnicę całego kontynentu, i marynarz uważa na ogół, że tajemnica nie była warta poznania. Opowiadania żeglarzy są proste, bezpośrednio i zbytkiem sensu nie grzeszą. Lecz Marlow nie był typowym żeglarzem (wyjąwszy jego skłonność do opowiadań) i według niego sens jakiegoś epizodu nie tkwił w środku jak pestka, lecz otaczał z zewnątrz opowieść, która tylko rzucała nań światło – jak blask oświetla opary – na wzór mglistych aureoli widzialnych czasem przy widmowym oświetleniu księżyca.

Uwaga Marlowa nie zaskoczyła nas wcale. To było zupełnie w jego stylu. Przyjęliśmy ją w milczeniu. Nikt nie zdobył się nawet na mruknięcie, a on wkrótce zaczął znów mówić powoli:

— Mam na myśli bardzo dawne czasy, kiedy Rzymianie przybyli tu po raz pierwszy, tysiąc dziewięćset lat temu – wczoraj... Światło biło później z tej rzeki – wspominaliście o rycerzach? Tak, ale to wszystko jest jak blask przebiegający równiną, jak błyskawica wśród chmur. Żyjemy w tym blasku – oby trwał, póki stara ziemia toczyć się będzie! Lecz wczoraj była tu ciemność. Wystawcie sobie uczucia dowódcy pięknej – jak to się nazywało? – tryremy na Morzu Śródziemnym, dowódcy odkomenderowanego nagle na północ: przebiega Galię w pośpiechu; powierzają mu jeden z tych statków, które legionieści – musieli to być cudowni ludzie i bardzo obrotna – budowali, jak się zdaje, całymi setkami w przeciągu miesiąca lub dwóch, jeśli można wierzyć temu, co się czyta. Wyobraźcie go sobie tam: istny koniec świata, morze barwy ołowiu, niebo barwy dymu, okręt o zwartości concertiny – a dowódca prowadzi go w górę rzeki wioząc zapasy czy rozkazy, czy co tam chcecie. Ławice piasku, bagna, lasy, dzicy ludzie, znikoma ilość pożywienia odpowiedniego dla cywilizowanego człowieka, a do picia nic prócz wody w Tamizie. Falerneńskiego wina ani śladu; wysiadać na brzeg nie można. Tu i tam obóz wojskowy zagubiony w dziczy jak igła w kopcu siana – zimno, mgła, burze, choroby, wygnanie i śmierć czatująca 'w powietrzu, w wodzie, w gąszczu. Musieli tu ginąć jak muchy. Ale z pewnością dowódca poprowadził bardzo dobrze

tę wyprawę, niewiele o tym myśląc – chyba później, kiedy się chełpił wszystkim, co przeszedł swojego czasu. Byli to ludzie dość mężni, by stawić czoła ciemności. A może takiemu dowódcy dodawała ciucha nadzieja, że dostanie się z czasem do floty w Rawennie – jeśli miał dobrych przyjaciół w Rzymie i jeśli wytrzymał straszny klimat.

Albo wyobraźcie sobie, że przyzwoity, młody obywatel w todze – może cokolwiek aa gorliwie uprawiający grę w kości – zjawia się tutaj w świecie jakiegoś prefekta albo poborcy podatków, albo wreszcie kupca, by poprawić swój los. Łąduje na trzęsawisku, maszeruje przez lasy i osiadłszy na jakiejś placówce w głębi łądu czuje, że dzicz, ostateczna dzicz zamknęła się wkoło niego – tajemnicze życie dziczy, które tętni w lesie, w dżungli, w sercach dzikich ludzi. Nie ma wtajemniczenia w takie misteria. Nasz obywatel musi żyć pośród niepojętego, które jest także czymś obrzydłym. A jednocześnie to niepojęte ma czar, który zaczyna na niego działać. Czar ohydy, rozumiecie? Wyobraźcie sobie rosnący w tym człowieku żal, pragnienie ucieczki, bezsilny wstręt, poddanie się, nienawiść.

Zamilkł.

— Zważcie – zaczął znów i siedząc ze skrzyżowanymi nogami podniósł rękę obróconą dłonią na zewnątrz, zupełnie jak Budda nauczający w europejskim ubraniu i bez lotosu – zważcie, że żaden z nas nie czułby tego samego. Ratuje nas wiara w skuteczność naszej pracy – poświęcenie się dla niej. Ale tamci ludzie nie przedstawiali doprawdy nic nadzwyczajnego. Kolonistami nie byli; podejrzewam, że ich administracja nie różniła się niczym od ucisku. Byli zdobywcami, do tego zaś potrzeba tylko bezmyślnej siły; i nie ma się czym szczycić, jeśli się ją posiada, ponieważ siła ta jest po prostu przypadkiem i wypływa ze słabości innych. Zagarniali, co mogli, ze zwykłej chciwości. Była to po prostu kradzież z włamaniem, masowe morderstwo na wielką skalę, a ludzie rzucali się w to na oślep – jak przystoi tym, którzy napastują mrok. Zdobywanie ziemi, polegające przeważnie na tym, że się ją odbiera ludziom o odmiennej cerze lub trochę bardziej płaskich nosach, nie jest rzeczą piękną, jeśli się w nią wejrzy zbyt blisko. Odkupia ją tylko idea. Idea tkwiąca w głębi; nie sentymentalny pozór, tylko idea; i altruistyczna wiara w tę ideę – coś, co można wyznawać i bić przed tym pokłony, i składać ofiary...

Urwał. Płomyki ślizigały się po rzece: małe, zielone płomyki, czerwone płomyki, białe płomyki, które się ścigały nawzajem, dopędzały, łączyły, krzyżowały – aby się rozstać śpiesznie lub powoli. Ruch handlowy wielkiego miasta trwał na bezsennej rzece wśród gęstniejącego mroku.

Przypatrywaliśmy się czekając cierpliwie – nic innego nie można było robić aż do końca przyływu; lecz dopiero po dłuższym milczeniu Marlow rzekł wahająco: – Pamiętacie pewno, koledzy, że byłem czas jakiś marynarzem na słodkich wodach – i wówczas wiedzieliśmy już, że jest nam sądzone, nim zacznie się odpływ, wysłuchać jednej z rozlicznych przygód Marlowa, nie doprowadzających do żadnej konkluzji.

— Nie chcę nudzić was długo tym, co spotkało mnie samego – zaczął zdradzając tą uwagą słabość właściwą wielu gawędziarzom, którzy tak często

zdają się nie wiedzieć, co ich słuchaczy najbardziej interesuje – lecz aby zrozumieć wpływ, jaki to na mnie wywarło, musicie wiedzieć, jak się tam znalazłem, co zobaczyłem, jak popłynąłem w górę rzeki aż do miejsca, gdzie spotkałem się po raz pierwszy z tym nieborakiem. Był to najdalszy punkt mojej wyprawy i kulminacyjny punkt mych przeżyć. Rzucił jak gdyby pewien rodzaj światła na to, co mnie otaczało, i na moje myśli. Wszystko to było dość ponure i żałosne, i wcale nie nadzwyczajne – i nie bardzo jasne. Nie, nie było bardzo jasne. A jednak zdaje mi się, że rzuciło pewnego rodzaju światło.

Powróciłem wówczas, jak pamiętacie, do Londynu po dłuższej żegludze na Oceanie Indyjskim, Spokojnym, na morzach chińskich, po porządnej porcji Wschodu – trwało to około sześciu lat. Wałęsałem się tu i ówdzie przeszkadzając kolegom w pracy i nachodząc wasze domy, zupełnie jakby mi niebo poruczyło misję, aby was cywilizować. Przez pewien czas bardzo to było przyjemne, lecz wkrótce zmęczyłem się wypoczynkiem.. Wówczas zacząłem rozglądać się za okrętem – co jest chyba najcięższą pracą na świecie. Ale okręty nie chciały nawet na mnie patrzeć. I ta zabawa zmęczyła mnie również.

Otóż, kiedy byłem małym chłopczykiem, miałem namiętność do map. Wpatrywałem się godzinami w Południową Amerykę i Afrykę lub Australię pograżając się we wspaniałościach odkrywczych podróży. W owych czasach było jeszcze wiele miejsc pustych na ziemi, a jeśli które z nich wydawało mi się na mapie szczególnie nie ponętne (ale one wszystkie tak wyglądają), kładłem nań palec i mówiłem: „Pojadę tam, jak dorosnę.” Pamiętam, że biegun północny należał do tych miejsc. No, nie zajechałem tam jeszcze, a teraz już próbować nie będę. Czar przysł. Inne znów miejsca były rozrzucone w okolicach równika i po wszelkich szerokościach geograficznych obu półkul. Zwiedziłem niektóre z nich i... no, nie będziemy o tym mówili. Ale było tam jedno – największe, najbardziej puste, że tak powiem – do którego ciągnęło mnie najsilniej.

Prawda, że w owej chwili to miejsce nie było już puste. Od czasów mego dzieciństwa zapełniły je rzeki i jeziora, i nazwy. Przestało być próżną przestrzenią pełną rozkosznej tajemnicy – białą plamą, budzącą w chłopcu wspaniałe marzenia. Przeobraziło się w miejsce, gdzie panuje mrok. Ale była tam przede wszystkim jedna rzeka, wielka, potężna rzeka, którą się oglądało na mapie, podobną do olbrzymiego, wyciągniętego węża, ze łbem w morzu, z tułowiem wijącym się poprzez rozległą krainę, z ogonem zagubionym w głębi lądu. A gdy przyglądałem się mapie przez okno wystawy, przykuwała mię ta rzeka, jak wąż przykuwa wzrokiem ptaszka – niemądrego, małego ptaszka.

Przypomniałem sobie, że istnieje wielkie towarzystwo, spółka do handlu na tej rzece. Do licha! Przyszło mi na myśl, że przecież nie mogą prowadzić handlu bez posługiwania się jakimiś statkami na tej ogromnej wodnej przestrzeni – bez parowców! Dlaczego bym nie miał się postarać o dowództwo któregoś z nich? Szedłem dalej przez Fleet Street, ale nie mogłem się pozbyć tych myśli. Wąż mnie oczarował.

To handlowe towarzystwo było spółką z kontynentu; ale mam mnóstwo krewnych na kontynencie, ponieważ – jak mówią – taniej tam i wcale nie tak nieprzyjemnie, jakby się zdawało.

Z przykrością muszę wyznać, że zacząłem swych krewnych nudzić. Już to samo było dla mnie czymś zupełnie nowym. Rozumiecie, nigdy nie miałem zwyczaju w taki sposób brać się do rzeczy. Szedłem zawsze swoją własną drogą, na własnych nogach, tam dokąd miałem ochotę. Nie byłbym wierzył, że jestem zdolny do czegoś podobnego, tylko że – widzicie – jakoś czułem, że muszę się tam dostać – tak czy inaczej. Więc ich zanudzałem. Mężczyźni mówili: „Mój drogi” – i nic nie robili. Wówczas – czy uwierzycie? – wziąłem się do kobiet. Ja, Charlie Marlow, zaprząłem do roboty kobiety, aby dostać posadę. Słowo daję! No, widzicie – przesładowała mię ta myśl. Miałem ciotkę, zacną, entuzjastyczną duszę. Napisała mi: „To będzie cudowne. Gotawam zrobić dla Ciebie wszystko, wszystko. Myśl jest wspaniała. Znam żonę jednego z członków administracja postawionego bardzo wysoko; znam także człowieka, który ma wielkie wpływy” – itd., itd. Postanowiła póty suszyć głowę ludziom, póki mnie nie mianują kapitanem rzecznego parowca, ponieważ taka jest moja fantazja.

Dostałem nominację, oczywiście, i dostałem ją bardzo prędko. Zdaje się, że towarzystwo dowiedziało się o śmierci jednego z kapitanów, który został zabity w bójkę z krajowcami. To było moje szczęście i tym bardziej zachciało mi się jechać. Dopiero w długie miesiące potem, gdy usiłowałem odzyskać ciało owego kapitana, dowiedziałem się, że źródłem kłótni było nieporozumienie co do kur. Tak, dwóch czarnych kur. Fre-sleven – tak się ów człowiek nazywał – Duńczyk, uważał, że go pokrzywdzono przy kupnie, wysiadł więc na ląd i zaczął okładać laską naczelnika wsi. Ach, nie zdziwiłem się wcale, gdy mi to opowiadali zaznaczając równocześnie, że Fresleven był najłagodniejszą, najspokojniejszą istotą pod słońcem. Było tak z pewnością; ale przecież znajdował się tani już od paru lat służąc wzniosłej idei i prawdopodobnie uczuł nareszcie potrzebę stwierdzenia w jakikolwiek sposób szacunku dla siebie samego. Dlatego też łupił bez litości starego Murzyna; naokoło gapił się tłum skamieniałych krajowców, aż wreszcie jeden z nich – podobno syn naczelnika – słuchając z rozpaczą wrzasków starca, rzucił w białego włóczęgę dla próby – i oczywiście włóczęga uwięzła z łatwością między łopatkami. Potem cała ludność uciekła do lasu w oczekiwaniu wszelkich możliwych klęsk, zaś parowiec dowodzony przez Fre-slevena odplynał również w wielkim popłochu, pod komendą maszynisty, o ile sobie przypominam. Później nikt już nie zdawał się troszczyć o szczątki Freslevena, póki się tam nie znalazłem jako jego następcą. Nie mogłem tej sprawy zaniedbać, ale gdy wreszcie nastąpiła mi się sposobność zetknięcia z moim poprzednikiem, trawa rosnąca między jego żebrami dość była wysoka, aby zasłonić kości. Zostały wszystkie na miejscu. Nikt nie tknął nadnaturalnej istoty leżącej na ziemi. Wieś opustoszała, chaty stały otworem, czarne, butwiejące, krzywe wśród rozwalonych płotów. Klęska spadła istotnie na wieś. Ludność znikła. Obląkany strach rozproszył wszystkich – mężczyzn, kobiety i dzieci; zaszyli się w gąszcz i nie wrócili już nigdy. Nie wiem doprawdy, co się stało z kurami. Przypuszczam, że sprawa postępu pozyskała je jakoś dla siebie. Tak czy owak,

wskutek tej sławnej afery dostałem nominację, nim się jeszcze zacząłem naprawdę jej spodziewać.

Latałem na wszystkie strony jak wariat, aby się przygotować do wyjazdu, i przed upływem czterdziestu ośmiu godzin jechałem już przez kanał dla pokazania się pryncypałom i podpisania kontraktu. W bardzo niewiele godzin przybyłem do miasta, które przypomina mi zawsze pobielany grób. Z pewnością to uprzedzenie. Znalazłem bez trudu biura kompanii. Był to największy budynek w mieście i każdy, kogo tylko spotkałem, mówił o tym towarzystwie. Spółka miała się zabrać do założenia zamorskiego cesarstwa i zdobyć nieskończone mnóstwo pieniędzy za pomocą handlu.

Wąska, opustoszała uliczka w głębokim cieniu, wysokie domy, niezliczone okna o weneckich żaluzjach, martwa cisza, trawa między kamieniami, imponujące wjazdowe arkady na prawo i lewo, olbrzymie masywne, nieco uchylone podwoje. Wślizgnąłem się przez jedną z tych szpar, wszedłem po zamiecionych, nagich schodach, jałowych jak pustynia, i otworzyłem pierwsze z napotkanych drzwi. Dwie kobiety, jedna tęga, a druga szczupła, siedziały na krzesłach wyplatanych słomą, robiąc coś na drutach z czarnej wełny. Szczupła podniosła się i szła wprost na mnie ze spuszczonej oczyma – nie przestając poruszać drutami – i dopiero gdy pomyślałam, że trzeba ustąpić jej z drogi jak lunatyczce, zatrzymała się i podniosła oczy. Miała suknię prostą jak futerał od parasola; odwróciła się bez słowa i zaprowadziła mnie do poczekalni. Wymieniłem swoje nazwisko i zacząłem się rozglądać. W środku był stół z sosnowego drzewa, zwykłe krzesła stały pod ścianami, w jednym końcu pokoju wisiała wielka, błyszcząca mapa, znaczona wszystkimi kolorami tęczy. Była tam wielka ilość czerwieni – którą zawsze miło jest widzieć, ponieważ z góry wiadomo, że odbywa się tam bardzo konkretna praca – całe mnóstwo błękitu, trochę zieleni, pasma pomarańczowe, a na wschodnim wybrzeżu purpurowa łata, aby pokazać, gdzie weseli pionierzy postępu popijają wesole piwo lagrowe. Ale nie. wybierałem się do żadnego z tych kolorów. Wybrałem się do żółtego. W samym środku mapy – jak strzełił. I rzeka była tam także – przykuwająca – śmiertelna – niby wąż.

Otworzyły się drzwi, ukazała się białowłosa głowa sekretarza o współczującym wyrazie twarzy i kościsty palec kiwnął na mnie. Wszedłem do sanktuarium. Światło tu było przyćmione, a ciężkie biurko przykucnęło w środku pokoju. Doznałem wrażenia, że za tym gmachem tkwi blada otyłość w surducie. Był to ów wielki człowiek we własnej osobie. Liczył zapewne jakieś pięć stóp sześć cali, a dzierżył w rękę bardzo wiele milionów. Podał mi dłoń, o ile pamiętam, szepnął coś nieokreślonego, wyraził uznanie dla mojej francuszczyzny. Bon voyage.

Po upływie czterdziestu pięciu sekund mniej więcej znalazłem się znów w poczekalni w towarzystwie współczującego sekretarza, który – strapiony i pełen sympatii – dał mi do podpisania jakiś dokument. Zdaje mi się, że między innymi zobowiązałem się do zachowania wszystkich handlowych sekretów. No i nie zamierzam ich zdradzić.

Zacząłem odczuwać lekki niepokój. Wiecie, że nie jestem przyzwyczajony do takich ceremonii, a przy tym w tej atmosferze było coś złowieszczonego. Zupełnie

jakby mnie wtajemniczono w jakiś spisek – nie umiem tego określić – jakby coś było niezupełnie w porządku; cieszyłem się, kiedy się stamtąd wydostałem. W przyległym pokoju owe dwie kobiety robiły gorączkowo na drutach coś z czarnej wełny. Zjawiali się interesanci i młodsza z kobiet wprowadzając ich chodziła tam i na powrót. Stara siedziała na krześle. Płaskie sukienne pantofle oparła o ogrzewacz do nóg, a na jej kolanach spoczywał kot. Na głowie miała jakąś białą, wykrochmaloną historyjkę, brodawkę na policzku i okulary w srebrnej oprawie zsunięte na koniec nosa. Popatrzyła na mnie znad szkieł. Zmieszał mię obojętny spokój tego szybkiego spojrzenia. Wprowadzono właśnie dwóch młodzików o głupkowatych, wesołych twarzach, a stara rzuciła im takie samo szybkie spojrzenie, mądre i obojętne. Zdawało się, że wie o nich wszystko, a także i o mnie. Poczułem zabobonny lęk. Wydała mi się niesamowita i złowroga. Często – gdy byłem już daleko – myślałem o tych dwóch kobietach, odźwiernych u wrót Ciemności, robiących na drutach jakby ciepły całun z czarnej wełny; wspominałem, jak jedna z nich wprowadza, wprowadza bez końca w nieznaną, a druga bada obojętnie starymi oczami wesołe i głupie twarze. Ave! stara pracownico, migająca drutami nad czarną przędzą. Morituri te salutant. Niewielu z tych, na których spojrzała, zobaczyło ją znowu – znacznie mniej niż połowa. Czekala mię jeszcze wizyta u doktora. „Prosta formalność” – zapewnił mi sekretarz z takim wyrazem twarzy, jak gdyby brał pokaźny udział we wszystkich moich strapieniach. Jakiś młodzik w kapeluszu naciśniętym na lewą brew, zapewne urzędnik – musieli tam być i urzędnicy w tej spółce, choć dom był cichy, jakby się znajdował w mieście umarłych – zeszedł skądś z góry i poprowadził mnie. Obszarpany był i zaniedbany, rękawy kurtki miał poplamione atramentem, a pod brodą, przypominającą czubek starego buta, tkwił wielki, falisty krawat. Na doktora było jeszcze trochę za wcześnie, więc zaproponowałem, żebyśmy się czegoś napili, dzięki czemu mój towarzysz puścił wodze swej wesołości. Gdyśmy już siedzieli przy kieliszkach wermutu, zaczął się unosić nad interesami spółki; od słowa do słowa, wyraziłem mimochodem zdziwienie, że on sam nie wybiera się do Afryki. Ochłódł natychmiast i stał się bardzo opanowany.

— Nie taki dureń ze mnie, na jakiego wyglądam, rzekł Platon do swoich uczniów – powiedział sentencjonalnie i wychylił kieliszek z wielką stanowczością, po czym wstaliśmy z miejsc.

Stary doktor wziął mnie za puls myśląc najwidoczniej zupełnie o czym innym.

— W porządku, może pan jechać – mruknął i zapytał z pewną skwapliwością, czybym mu nie pozwolił zmierzyć swej głowy. Odrzekłem: „dobrze” – nieco tym zaskoczony, a on wyciągnął coś w rodzaju cyrkla i zrobił pomiary z tyłu, z przodu i ze wszystkich stron, notując starannie. Był to nieogolony człowieczek w wytartym kaftanie podobnym do opończy i pantoflach; wyglądał na nieszkodliwego durnia.

— W interesie nauki – rzekł – proszę zawsze tych, którzy tam jadą, aby mi pozwolili zmierzyć swe czaszki.

— A gdy wracają, robi pan to samo? – zapytałem.

— Ach, nigdy się już z nimi nie stykam – zauważył – a przy tym, widzi pan, zmiany zachodzą w środku. – Uśmiechnął się jak po wypowiedzeniu przyjemnego

żartu. – Więc pan tam jedzie. Świetnie. To bardzo zajmujące. – Spojrzał na mnie badawczo i znów coś zanotował. – Czy nie było kiedy w pańskiej godzinie wypadku obłąkania? – zapytał rzeczowym tonem.

Zaczynało mnie to mocno drażnić.

— Pan pyta o to również w interesie nauki?

— Byłoby rzeczą zajmującą – odrzekł nie zwracając uwagi na moje rozdrażnienie – gdyby można dla celów naukowych śledzić tam, na miejscu zmiany psychiczne zachodzące w jednostkach, ale...

— Czy pan jest psychiatrą? – przerwałem.

— Każdy lekarz powinien być trochę psychiatrą – odparł z niewzruszonym spokojem oryginał. – Mam pewną teorię, do której udowodnienia wy, panowie, udający się tam, musicie mi pomóc. To jest mój udział w korzyściach, jakie kraj mój powinien osiągnąć z posiadania tej wspaniałej kolonii. Bogactwa zostawiam innym. Proszę mi wybaczyć te pytania, ale pan jest pierwszym Anglikiem, który się dostaje pod moją obserwację...

Pospieszyłem go zapewnić, że nie jestem bynajmniej typowy.

— Gdyby tak było – rzekłem – nie rozmawiałbym z panem w ten sposób.

— To, co pan mówi, jest dość głębokie i prawdopodobnie błędne – rzekł ze śmiechem. – Niech pan się wystrzega irytacji jeszcze bardziej niż przebywania na słońcu. Adieu. Jak to mówicie po angielsku, co? Good-bye. Aha! Good-bye. Adieu. Pod zwrotnikami trzeba przede wszystkim zachowywać spokój... – Podniósł ostrzegawczo palec... – Du calme, du calme. Adieu.

Pozostawało mi jeszcze jedno – pożegnać się z moją ząną ciotką. Zastałem ją tryumfującą. Wypiłem filiżankę herbaty – ostatnią filiżankę porządnej herbaty na długi przeciąg czasu – i w pokoju, który wyglądał właśnie tak, jak sobie wyobrażamy kobiecy salon, co podziało na mnie niezmiernie kojąco, ucieliśmy przy kominku długą, spokojną gawędę. W ciągu tych zwierzeń zrozumiałem, że opisano mnie żonie wysokiego dygnitarza – i poza tym Bóg raczy wiedzieć ilu innym osobom – jako wyjątkową i szczególnie obdarzoną przez los istotę, człowieka opatrnościowego dla spółki, jakiego się często nie spotyka. Miłosierny Boże! a ja miałem objąć komendę na jakimś tam marnym rzeczonym parowcu, zaopatrzonym w taniutką gwizdawkę. Okazało się przy tym, że jestem także Działaczem, przez duże „D” – rozumiecie. Ni by wysłańcem świata, niby apostołem późniejszego gatunku. W owych czasach rozpuszczano masą ta, kich bredni w druku i słowie i ząna moja ciotka, żyjąca pośrodku tej całej błagi, straciła równowagę. Póty rozprawiała o tym, że „trzeba odzwyczaić miliony tych ciemnych ludzi od ohydnych ich życia”, aż wreszcie – daję wam słowo – zrobiło mi się jakoś głupio. Ośmieliłem się nadmieni, że przecież spółka została założona dla zysku.

— Zapominasz, kochany Charlie, że każda praca zasługuje na zapłatę – rzekła wesoło.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).